

Mój drogi Marku,

udałem się dziś rano do mego lekarza Hermogenesa, który niedawno powrócił do Willi z dosyć długiej podróży po Azji. Badanie miało się odbyć na czczo: umówiliśmy się na wczesną godzinę poranną. Położyłem się na łóżku, zdjawszy płaszcz i tunikę. Oszczędzę ci szczegółów, które byłyby ci tak samo jak i mnie niemiłe, i opisu ciała mężczyzny, który się posuwa w latach i oswaja z myślą o śmierci na puchlinę serca. Powiedzmy tylko, że kaszlał, oddychał i wstrzymywał oddech, podług wskazówek Hermogenesa, zaniepokojonego jednak tak szybkimi postępami choroby i gotowego obarczyć odpowiedzialnością za to młodego Iollasa, który mnie podczas jego nieobecności leczył. Trudno jest pozostać cesarzem w obecności lekarza, trudno jest też zachować swoje człowieczeństwo. Oko praktyka widziało we mnie tylko zbiorowisko humorów, smutny amalgamat limfy i krwi. Tego ranka po raz pierwszy nawiedziła mnie myśl, że moje ciało, ten wierny towarzysz, ten przyjaciel pewniejszy i lepiej mi znany niż moja dusza, jest tylko przyczajonym potworem, który w końcu pożre swego pana. Pokój... Lubię moje ciało; służyło mi dobrze i na wszelkie sposoby, i nie skąpił mu należnych starań. Ale już nie liczę, jak

wydaje się jeszcze czynić Hermogenes, na cudotwórcze właściwości ziół, ściśle dozowanie mineralnych soli, po które jeździł na Wschód. Ten człowiek, tak przecież rozumny, uraczył mnie ogólnikowymi formułkami otuchy, zbyt banalnymi, by kogokolwiek oszukać; wie, jak wstrętne jest mi tego rodzaju oszustwo, ale nie można bezkarnie zajmować się medycyną przez lat przeszło trzydzieści. Wybaczam zacnemu słudze to usiłowanie ukrycia przede mną mojej śmierci. Hermogenes jest uczony; jest nawet mądry; jego uczciwość o wiele przewyższa zwykłą uczciwość pospolitego dworskiego lekarza. Będę dzięki temu najlepiej pielęgnowanym chorym. Ale nikt nie może przeskoczyć wyznaczonych granic; moje spuchnięte nogi już mnie nie dźwigają podczas długich ceremonii rzymskich; duszę się; i mam sześćdziesiąt lat.

Nie wyciągaj stąd fałszywych wniosków: nie jestem jeszcze dosyć słaby, żeby się poddać urojeniom strachu, niemal tak samo jak urojenia nadziei niedorzecznym, a na pewno o wiele przykrzejszym. Gdyby się trzeba było łudzić, wolałbym się łudzić, ufając; nie straciłbym na tym więcej, a mniej bym cierpiał. Ten termin, taki już bliski, nie musi być bezzwłoczny; jeszcze się kładę co noc z nadzieją doczekania ranka. Wewnątrz nieprzekraczalnych granic, o których przed chwilą mówiłem, mogę bronić mego stanowiska, piędź za piędzią, a nawet i odzyskiwać kilka cali z terenu, którym utraciłem. Wszelako doszedłem do wieku, w którym życie staje się dla każdego człowieka dobrowolnie przyjętą klęską. Rzecz, że moje dni są policzone, nic nie znaczy; zawsze tak było; i jest tak dla nas wszystkich. Ale niepewność miejsca, pory i sposobu, która nie pozwala nam widzieć wyraźnie tego celu, ku któremu zbliżamy się bez ustanku, zmniejsza się dla mnie w miarę postępów mojej śmiertelnej choroby. Każdy w każdej chwili

może umrzeć; ale chory wie, że za dziesięć lat nie będzie żyć. Mój margines niepewności rozciąga się już nie na lata, ale na miesiące. Moje szanse, że zginę od pchnięcia sztyltem w serce albo od upadku z konia, stają się już całkiem znikome; dżuma wydaje się nieprawdopodobna; trąd i rak ostatecznie prześcignęte. Już mi nie grozi ryzyko, że polegnę na granicy od kaledońskiej siekiery albo przeszyty partyjską strzałą; burze nie umiały skorzystać z dawanych im okazji i widocznie miał słuszność wieszczek, który przepowiedział mi, że nie utonę. Umrę w Tyburze, w Rzymie albo, najdalej, w Neapolu i dokona tego dzieła atak duszności. Czy zabierze mnie dziesiąty atak, czy setny? Oto całe pytanie. Jak podróżnik żeglujący między wyspami Archipelagu, który widzi świetlistą mgłę wznoszącą się pod wieczór i odkrywa powoli zarys brzegów, zacznę dostrzegać profil mojej śmierci.

Niektóre dziedziny mego życia już są podobne do opróżnionych ze sprzętów komnat zbyt wielkiego pałacu, którego zbiedniały właściciel nie jest w stanie zamieszkiwać w całości. Już nie poluję; gdybym tylko ja jeden zakłócał im przeżuwanie paszy i zabawy, kozice w górach Etrurii żyłyby w spokoju. Zawsze utrzymywałem z leśną Dianą zmienne i namiętne stosunki mężczyzny z przedmiotem ukochania: kiedy byłem młodzieńcem, łowy na dzika dały mi pierwsze szanse zetknięcia się z dowodzeniem i niebezpieczeństwem; oddawałem się im z pasją; Trajan łącał mnie za moje w tej dziedzinie wybryki. Polowanie z nagonką na polanie w Hiszpanii było moim najdawniejszym doświadczeniem śmierci, odwagi, litości dla stworzeń i tragicznej uciechy przyglądania się, jak cierpią. Jako dojrzałemu mężczyźnie łowy dawały mi wytchnienie po tyłu walkach, jakie staczałem skrycie z przeciwnikami nazbyt przebiegłymi albo nazbyt tępymi, nazbyt słabymi albo nazbyt silnymi dla

mnie. Ta uczciwa walka między inteligencją człowieka i czujną zwinnością dzikich zwierząt wydawała mi się dziwnie czysta w porównaniu z ludzką przebiegłością. Jako cesarzowi, moje łowy w Toskanii pozwalały mi oceniać odwagę albo pomysłowość wysokich urzędników: wyeliminowałem lub wybrałem podczas łowów niejednego męża stanu. Później w Bitynii, w Kapadocji, wielkie polowania z nagonką były mi pretekstem do uroczystego świętowania, jesiennego triumfu w lasach Azji. Ale towarzysz moich ostatnich łowów umarł młodo i moje zamiłowanie do tych gwałtownych uciech bardzo osłabło po jego odejściu. Jednak nawet tu, w Tyburze, nagłe parsknięcie jelenia pod liśćmi wystarcza, by drgnął we mnie instynkt starszy od wszystkich, dzięki któremu czuję się tyleż gepardem, co i cesarzem. Kto wie? Może tak oszczędzałem krew ludzką dlatego jedynie, że przelał tyle krwi dzikich zwierząt, które niekiedy, potajemnie, wołałem od ludzi. Przyznam, że obraz dzikich zwierząt nurtuje mnie ciągle i z trudem się powstrzymuję od niekończących się myśliwskich opowieści, które mogłyby na nie lada próbę wystawić cierpliwość moich wieczornych gości. Przecież wspomnienie dnia, w którym po raz pierwszy zostałem myśliwym, ma swój urok, historia zaś o lwach zabitych w Mauretanii też jest niezła.

Wyrzeczenie się konia było ofiarą jeszcze przykrzejszą: zwierzyzna jest tylko przeciwnikiem, koń był zawsze przyjacielem. Gdyby mi pozwolono samemu sobie wybrać kształt i stan, zostałbym centaurem. Stosunki między Borystenesem i mną były matematycznie ścisłe: słuchał mnie jak swego mózgu, a nie jak swego pana. Czym uzyskał kiedy, by tak postępował człowiek? Władza tak całkowita mieści w sobie, jak i każda inna, ryzyko omyłki dla człowieka, który ją sprawuje, ale rozkosz porównania się na niemożliwość w dziedzinie skoków przez przeszkody

była zbyt wielka, by żałować zwichniętego ramienia czy złamanego żebra. Mój koń tysiączne pojęcia dotyczące tytułu, funkcji, nazwiska, które komplikują przyjaźń ludzką, zastępował jedną jedyną a dokładną znajomością mego ludzkiego ciężaru. W moich porywach brał udział pospołu ze mną; wyczuwał, może lepiej niż ja, moment, w którym moja wola brała rozbrat z moją siłą. Ale już nie objuczam następcy Borystenesa ciężarem człowieka chorego, o zwiotczających mięśniach, zbyt słabego, by się wdrapać o własnych siłach na grzbiet wierzchowca. Mój adiutant Celer ujeżdża go w tej chwili na trakcie do Preneste; moje wszystkie minione doświadczenia z szybkością pozwalają mi dzielić uciechę jeźdźca i uciechę konia, ocenić doznania człowieka, który mknie galopem w słoneczny i wietrzny dzień. Kiedy Celer z konia zeskakuje, razem z nim znów staję na ziemi. Tak samo jest z pływaniem: wyrzekłem się pływania, ale jeszcze odczuwam rozkosz pływaka pieszczonego przez wodę. Biec, nawet po najkrótszym szlaku, byłoby mi dziś tak samo trudno jak ciężkiemu posągowi, jakiemuś cesarowi z kamienia, ale pamiętam, jak biegałem, będąc dzieckiem, po wyschłych wzgórzach Hiszpanii, pamiętam tę grę ze sobą, w której dochodzi się aż do kresu tchu, mając pewność, że doskonałe serce, nietknięte płuca przywrócą równowagę; i z byle atletą ćwiczącym się w bieganiu na długi dystans łączymnie nic porozumienia, jakiego nie dałaby sama inteligencja. W ten sposób z każdej umiejętności uprawianej w swoim czasie czerpię wiedzę, która mi po części rekompensuje utracone uciechy. Wierzyłem, i w dobrych chwilach jeszcze wierzę, że można by dzielić w ten sposób istnienie wszystkich i że to powinowactwo byłoby jednym z najmniej wątpliwych rodzajów nieśmiertelności. Zdarzały się chwile, w których owo współrozumienie usiłowało przekroczyć to, co ludzkie, przesunąć się

z pływaka na falę. Ale tu, niewspomagany żadnym ścisłym poznaniem, wkraczam w dziedzinę metamorfoz snu.

Obżarstwo to wada rzymska, lecz dla mnie rozkoszą była wstrzemięźliwość. Hermogenes niczego nie musiał zmieniać w mojej diecie, może tylko tę niecierpliwosć, która mi kazała jeść byle gdzie, o byle jakiej porze, pierwszą, jaka popadła, potrawę, jakby po to, by za jednym zamachem zaspokoić wymagania głodu. I jest to oczywiste, że człowiek bogaty, który tylko z własnej woli zaznawał niedostatku albo doświadczał go jedynie przejściowo, jako jednego z bardziej lub mniej podniecających składników wojny i podróży, robiłby złe wrażenie, chępiąc się, że się nie obżera. Obżarstwo w pewne uroczyste dni było zawsze naturalną ambicją, radością i dumą biedaków. Lubiłem woń pieczonego mięsiwa i brzęk kotłów radośnie opróżnianych przez wojsko, lubiłem, kiedy uczyły obozowe (albo to, co w obozie jest uczta) były tym, czym powinny być, wesołą i rubaszną przeciwwagą codziennych prywaty; znosiłem całkiem nieźle woń frytur na publicznych placach w czasie Saturnaliów. Ale rzymskie festyny wywoływały we mnie tyle wstrętu i nudy, że jeśli przypuszczałem czasami, iż może i zginę podczas jakiejś wyprawy badawczej albo wojennej, mówiłem sobie na pokrzepienie ducha, że przynajmniej nie będę już bywał na obiadach. Nie uwłaczaj mi, proszę, biorąc mnie za pospolitego abnegata: czynność, która odbywa się dwa albo trzy razy dziennie i której celem jest zasilanie życia, na pewno zasługuje na nasze wszelkie staranie. Jeść owoc to wchłaniać w siebie piękny przedmiot, żywy, obcy, wykarmiony i troskliwie wyhodowany, jak i my, przez ziemię; to spożywać ofiarę, w której siebie przekładamy ponad rzecz. Ilekroć miałem w ustach kęs żołnierskiego chleba, zawsze zachwycało mnie, że rzecz ciężko i pospolicie trawiona przez żołądkowe soki potrafi się

zamienić w krew, w ciepło, w odwagę być może. Ach, dlaczego mój umysł, w swoje najlepsze dni, posiada zaledwie część asymilacyjnych mocy ciała?

Właśnie w Rzymie, podczas długich oficjalnych bankietów, zdarzało mi się rozmyślać o początkach, niedawnych stosunkowo, naszego zbytku, o tym ludzie skrętnych rolników i wstrzeźliwych żołnierzy, żywiących się czosnkiem i jęczmieniem, którzy, przez podbój, nagle dorwawszy się do kuchen Azji, zaczęli pochłaniać te skomplikowane pokarmy z nieokrzesianiem wieśniaków czujących wilczy głód. Nasi Rzymianie dławią się ortolanami, zalewają sosami i trują korzeniami. Apicjusz pyszni się kolejnością podawanych potraw, następstwem dań kwaśnych i słodkich, ciężkich i lekkich, które składają się na piękny porządek jego uczt; jeszcze pół biedy, gdyby każde z tych dań było podawane osobno, przyswajane na czczo, uczenie kosztowane przez smakosza mającego wszystkie brodawki smakowe nietknięte. Podawane jedne po drugich, w spowszedniałej i codziennej obfitości, tworzą na podniebieniu i w żołądku jedzącego człowieka paskudną mieszaninę, w której wonie, smaki, substancje tracą właściwą sobie wartość i zachwycającą tożsamość. Ten biedak Lucjusz zabawiał się niegdyś w przyrządzanie dla mnie rzadkich potraw; jego szynka i korzenie, w iście naukowy sposób dozowane w pasztetach z bażantów, były świadectwem sztuki tak ścisłej jak sztuka muzyka i malarza; a przecież wolałbym czyste mięso tego pięknego ptaka. Grecja lepiej się na tym rozumiała; jej wino zaprawione żywicą, jej chleb posypany sezamem, ryby opiekane na ruszcie, na brzegu morza, nierówno przypalone ogniem i doprawione tu i ówdzie zgrzytliwym ziarnkiem piasku, w czysty sposób syciły apetyt, nie otaczając nadmiarem komplikacji najprostszej z naszych radości. W spe-lunkach Eginii i Faleronu kosztowałem pokarmów tak świeżych,

że pozostawały bosko czyste mimo brudnych palców podającego chłopca, pokarmów tak skromnych, ale tak obfitych, jakby zawierały w sobie w najbardziej skondensowanej postaci jakąś esencję nieśmiertelności. Mięso pieczone wieczorami podczas polowań miało także tę jakość nieledwie sakralną, kazało się cofnąć głębiej, aż do dzikich plemiennych początków. Wino wtajemnicza nas w wulkaniczne sekrety gleby, w ukryte mineralne bogactwa: puchar wina z Samos, wypity w południe w słońcu albo, przeciwnie, wypity zimowym wieczorem, w stanie zmęczenia, które pozwala od razu uczuć we wgłębieniu przepony ciepłe przepływanie napoju, jego pewne i rozgrzewające rozchodzenie się po naszych żyłach, jest doznaniem prawie świętym, często za silnym dla ludzkiej głowy; nie odnajduję go w takiej czystości w winie pochodzącym z numerowanych piwnic Rzymu i niecierpliwi mnie pedantyzm wielkich znawców gatunków win. Woda pita z dłoni albo wprost ze źródła jeszcze bogobojniej wlewa w nas najsekretniejszą sól ziemi i niebiański deszcz. Ale nawet woda jest rozkoszą, której choremu, jakim jestem, wolno używać tylko umiarkowanie. Trudno: będę się starał czuć na wargach jej nikłą w smaku świeżość, nawet i w agonii, zmieszana z goryczą ostatnich leków.

Przez krótki czas powstrzymałem się od spożywania mięsa, w szkołach filozoficznych, gdzie godzi się wypróbować raz każdą metodę postępowania; później, w Azji, widziałem gimnosofistów indyjskich odwracających głowy od dymiących jagnięt i ćwiartek gazeli podawanych pod namiotem Osroesa. Ale ta praktyka, w której znajduje urok twój młodzieńczy ascetyzm, wymaga jeszcze bardziej skomplikowanych zabiegów niż obżarstwo; za bardzo nas oddziela od ogółu ludzi w funkcji prawie zawsze publicznej, której najczęściej patronują wystawność albo przyjaźń. Wolę przez całe życie żywić się tuczonymi



gęśmi i perliczkami niż się narażać przy każdym posiłku na to, że współbiednicy pomawiać mnie będą o popisywanie się ascetyzmem. I tak nie bez trudu, za pomocą suszonych owoców i powolutku wysączonej szklanki, udawało mi się ukrywać przed moimi gośćmi, że potrawy przygotowane na mój stół przez kuchmistrzów były bardziej dla nich niż dla mnie albo że moja ciekawość tych dań kończyła się wcześniej niż ich. Panującemu nie dostaje tu swobody, jakiej zażywa filozof: nie może sobie pozwolić na to, by być odmiennym w nazbyt wielu punktach równocześnie, a wiedzą bogowie, że takich odmiennych punktów miałem już i tak nazbyt wiele, choć pochlebiałem sobie, że wielu z nich nie widać. Zaś religijne skrupuły gimnosophisty, jego wstręt na widok krwawiącego mięsa przejęłyby mnie bardziej, gdyby mi się nie zdarzało zastanawiać, na czym polega istotna różnica między cierpieniem ścinanej trawy i cierpieniem zarzynanych baranów, i czy zgroza na widok mordowanych zwierząt nie polega przede wszystkim na tym, że nasza wrażliwość przynależy do tego samego królestwa istot żywych. Wszelako w pewnych chwilach życia, w okresach obrzędowego postu na przykład albo podczas religijnych wtajemniczeń, poznałem, jakie wynikają korzyści i niebezpieczeństwa dla ducha z różnych form ścisłej wstrzemięźliwości czy nawet dobrowolnego wycieńczenia, z tych stanów bliskich szału, kiedy ciało, wyzbywszy się po części swego balastu, wchodzi w świat, do którego nie zostało stworzone, a który jest prefiguracją chłodnej lekkości śmierci. W innych chwilach te doświadczenia pozwoliły mi igrać z myślą o stopniowym samobójstwie, o śmierci przez kolejne wtajemniczenia, jak się to zdarza niektórym filozofom, o czymś na kształt odwróconej rozpusty, w której dochodzi się aż do wyczerpania ludzkiej substancji. Ale nigdy bym nie miał ochoty włączyć się całkowicie w jakiś system i nie

chciałbym, żeby skrupuł odebrał mi prawo do najedzenia się wędliną, jeślibym przypadkiem miał chęć albo jeśliby to było jedyne łatwo dostępne pożywienie.

Cynicy i moraliści zgodnie kładą rozkosze miłości między uciechy zwane pospolitymi, między przyjemności picia i jedzenia, uznając je przy tym – ponieważ twierdzą, że się można bez nich obyć – za mniej od tych drugich nieodzowne. Po moralistcie spodziewam się wszystkiego, ale dziwi mnie, że cynik się tak myli. Przypuśćmy, że jedni i drudzy boją się swoich demonów, ulegają im bądź też im się opierają i usiłują zlekceważyć dawaną przez nie rozkosz, żeby jej jakoś odjąć tę niemal straszliwą moc, pod którą muszą się ugiąć, i dziwną tajemniczość, w której się czują zabłąkani. Uwierzę w utożsamienie miłości z radościami czysto fizycznymi (jeśli przypuścimy, że takie w ogóle istnieją) w dniu kiedy zobaczę, jak smakosz szlacha z rozkoszy przed ulubioną potrawą niczym kochanek na młodym ramieniu. Ze wszystkich gier i uciech jest to jedyna mogąca wstrząsnąć duszą i jedyna, w której gracz musi poddać się oszołomieniu doznawanemu przez ciało. Nie jest nieodzowne, by pijący wyrzekł się rozsądku, ale kochanek, który rozsądek zachowuje, nie jest do końca posłuszny swojemu bóstwu. Wyrzeczenie się albo nadużycie wszędzie indziej wciąga tylko człowieka samego: wyjąwszy przypadek Diogenesa, którego ograniczenia i charakter rozsądnego poprzestania na gorszym określają się same przez się, każdy zabieg zmysłowy stawia nas wobec Drugiego Człowieka, wplątuje w wymagania i konieczności wyboru. Nie znam dziedzin, w której człowiek decydowałby się dla powodów prostszych i bardziej nieuchronnych, w której wybrany przedmiot ważony by był ściśle podług swego właściwego ciężaru rozkoszy, w której amator prawd miałby więcej szans na osądzenie istoty nagiej. Poczynając od

chwili tego wyrzucenia ze wszystkiego, równego wyrzuceniu śmierci, pokory większej niż pokora klęski i modlitwy, za każdym razem zdumiewam się i zachwycam, widząc, jak się formuje od nowa zawilść odmów, odpowiedzialności, wkładów, rzewnych wyznań, kruchych kłamstw, namiętnych kompromisów, między moimi uciechami i uciechami tej Osoby Drugiej, tyle więzów niemożliwych do rozerwania, a przecież rozplątywanych tak szybko. Ta tajemnicza gra, zmierzająca od miłości ciała do miłości osoby, wydawała mi się wystarczająco piękna, by poświęcić jej część mojego życia. Słowa mylą, gdyż słowo „rozkosz” ukrywa rzeczywistości sprzeczne, mieści w sobie zarazem pojęcia ciepła, łagodności, bliskiej zażyłości ciała i pojęcia przemocy, agonii i krzyku. Sprośne zdanko Posejdoniosa o pocieraniu się dwóch naskórków, które, widziałem, wypisywałeś ze starannością grzecznego dziecka w twoich szkolnych zeszytach, tyleż określa fenomen miłości, ile struna dotknięta palcem daje pojęcie o cudzie dźwięków. Ubliża nie tyle rozkoszy, ile samemu ciału, temu instrumentowi z mięśni, krwi i naskórka, tej czerwonej chmurze, której błyskawicą jest dusza.

I wyznaję, że rozum staje w pomieszeniu wobec samego cudu miłości, dziwnej obsesji sprawiającej, że ta sama materia cielesna, którą zajmujemy się tak mało, kiedy stanowi nasze własne ciało, o którą troszczymy się po to tylko, by ją umyć, nakarmić i, jeżeli można, nie dać jej cierpieć – może w nas wzbudzić tak namiętną potrzebę pieczy jedynie dlatego, że jest ożywiona osobowością odmienną od naszej i że, układając się w rysy twarzy, przedstawia jakieś piękno, co do którego zresztą i najlepsi sędziowie nie są w zgodzie. Tu ludzka logika pozostaje na zewnątrz jak w objawieniach misteriów. Nie omyliła się w tym względzie ludowa tradycja, która zawsze widziała w miłości formę wtajemniczenia, punkt, w którym spotyka

się to, co sekretne i sakralne. Doświadczenie zmysłowe da się porównać z misteriami także i w tym, że pierwsze zbliżenie wydaje się niewtajemniczonemu rytuałem mniej lub bardziej przerażającym, gorsząco dalekim od znanych mu na co dzień czynności spania, picia i jedzenia, przedmiotem kpiny, wstydu albo zgrozy. Właśnie tak, jak taniec menad albo szał korybantów, nasza miłość pociąga nas w świat odmienny, w który kiedy indziej nie wolno nam wchodzić i w którym przestajemy poruszać się swobodnie, kiedy gaśnie zapał albo kończy się rozkosz. Przybity do kochanego ciała jak ukrzyżowany do swojego krzyża, dowiedziałem się o istnieniu kilku sekretów, które już mi w pamięci blakną, podlegając temu samemu prawu, które czyni, że ozdrowieniec przestaje się orientować w tajemniczych prawdach swojej choroby, że wypuszczony na wolność więzień zapomina o męce, a otrzeźwiały triumfator o chwale.

Marzyło mi się czasem opracowanie systemu ludzkiego poznania opartego na erotyce, teorii kontaktu, w której tajemnica i godność Istoty Drugiej polegałaby właśnie na dawaniu memu Ja tego punktu oparcia z innego świata. Rozkosz zmysłowa byłaby w tej filozofii formą pełniejszą, a zarazem bardziej samodzielną tego zbliżenia z Drugą Istotą, jeszcze jedną umiejętnością oddaną w służbę poznawania tego, co nie jest nami. Nawet w zbliżeniach najmniej zmysłowych to właśnie poprzez kontakt cielesny wzruszenie zamiera albo się rodzi: nieco odrażająca dłoń tej staruszki, która mi podaje prośbę, wilgotne czoło mego konającego ojca, obmyta rana rannego. Nawet stosunki najbardziej intelektualne albo najbardziej obojętne dokonują się poprzez ten system sygnałów ciała: nagle rozjaśnione spojrzenie trybuna, któremu tłumaczysz manewr w ranek przed bitwą, bezosobowy ukłon podwładnego, któremu nasze pojawienie się każe zastygnąć w postawie posłuszeństwa, przyjazne

spojrzenie niewolnika, któremu dziękuję za przyniesienie tacy, albo mina starego przyjaciela na widok greckiej kamei, którą mu daję, świadcząca o należywym oszacowaniu jej wartości. Wobec większości istot najlżejsze, najbardziej powierzchowne kontakty czynią zadość naszej chęci, a nawet już przewyższają ją. Jeśli się uporczywie mnożą wokół istoty jedynej, póki jej nie otoczą całkowicie, jeśli każda cząstka czyjegoś ciała przyobleka się dla nas w tyleż wstrząsających znaczeń co i rysy twarzy; jeśli jedno stworzenie, miast wzbudzać w nas co najwyżej rozdrażnienie, przyjemność albo nudę, prześladuje nas jak muzyka i nęka jak matematyczne zadanie; jeśli przejdzie z peryferij naszego świata w jego centrum, stanie się nam, nareszcie, bardziej nieodzowne niż nasze własne Ja – to znaczy, że zadziwiający cud stał się, cud, w którym widzę w o wiele większym stopniu owładnięcie ciała duchem niż zwykłą igraszkę ciała.

Takie zapatrywania na miłość mogłyby prowadzić do kariery uwodziciela. Jeśli jej nie zrobił, to dlatego zapewne, że robił coś innego, coś lepszego może. W braku geniuszu taka kariera wymaga starań, nawet i podstępów, do których nie bardzo się czułem uzdolniony. To zastawianie wciąż tych samych sideł, ta rutyna poprzestająca na wiecznym przybliżaniu się, które samo zwycięstwo ogranicza, wszystko to mnie znużyło. Technika wielkiego uwodziciela wymaga w przechodzeniu z przedmiotu na przedmiot łatwości, obojętności, których wobec nich nie mam: w każdym razie częściej one mnie rzucały niż ja je; nigdy nie rozumiałem, jak można się jakąś istotą nasycić. Chęć dokładnego obliczenia bogactw, jakie nam każda nowa miłość przynosi, chęć patrzenia, jak się zmieniają, jak się, być może, starzeją, nie idzie w parze z mnogością zdobyczy. Niegdyś przypuszczałem, że niejaki zamiłowanie do piękna zastąpi mi cnotę, potrafi mnie uodpornić na nazbyt pospolite

zabiegi. Alem się omylił. Miłośnik piękna kończy na odnajdowaniu go wszędzie, złotej żyłki w najpodlejszych żyłach; na doznawaniu, kiedy bierze do ręki te arcydzieła szczątkowe, pobrudzone albo potłuczone, przyjemności znawcy, który jeden jedyny kolekcjonuje wyroby garncarskie uznawane za pospolite. Poważniejszą dla człowieka mającego dobry smak przeszkodą jest wybitna pozycja w układzie spraw ludzkich i owo ryzyko pochlebstwa albo kłamstwa, jakie w sobie mieści niemal absolutna potęga. Myśl, że ktoś, choćby w najmniejszej mierze, sztucznie zmienia się w mojej obecności, jest zdolna sprawić, bym go żałował, gardził nim albo go znienawidził. Cierpiałem od tych niedogodności mojej szczęsnej doli jak ubogi od niedogodności swojej nędzy. Jeszcze krok, a byłbym uległ fikcji, która polega na przypuszczeniu, że czarujesz, wówczas gdy wiesz, że się narzucasz. Zaś tam zacząć się może obrzydzenie, a nawet i głupota.

I, nareszcie, od zwietrzałych podstępów oczarowywania wolałoby się całkiem proste prawdy rozpusty, gdyby tam także nie władało kłamstwo. W zasadzie jestem gotów zgodzić się, że prostytutka jest sztuką jak masaż albo czesanie, ale już mi trudno znaleźć upodobanie w bytności u fryzjera czy u masażysty. Nic tak grubiańskiego jak współnicy. Spojrzenie spod oka oberżysty, który dla mnie chowa najlepsze wino, a przez to samo pozbawia go kogoś innego, wystarczało w czasach mojej młodości, by mi zbrzydzić rozrywki Rzymu. Niemiło mi, kiedy jakiś stwór sądzi, iż jest w stanie dyskutować moje pragnienie, przewidzieć je, mechanicznie dostosować się do tego, co uważa za mój wybór. To głupie i zniekształcone odbicie mnie samego, jakie pokazuje mi w takich chwilach ludzki mózg, mogłoby sprawić, że już wolałbym smutne skutki ascetyzmu. Jeśli legenda nie wyolbrzymia obłąkańczych wyskoków Nerona,

kunstownych doświadczeń Tyberiusza, ci wielcy konsumenci rozkoszy musieli widać mieć zmysły mocno niemrawe, jeśli się wysilali na tak skomplikowane przedsięwzięcia, i musieli niezwykle gardzić ludźmi, by ścierpieć, że wyszydzą i wykorzystują ich. Wszelako, żem się prawie że wyrzekł tych zbyt machinalnych form rozkoszy albo żem w nich nie zaszedł za daleko, zawdzięczam raczej memu szczęściu niż cnocie, niezdolnej się czemukolwiek oprzeć. Mógłbym w to popaść na starość jak i w każdy inny rodzaj zmęczenia albo nieładu. Choroba i stosunkowo bliska śmierć ocalą mnie od monotonnego powtarzania tych samych gestów, podobnego do wydawania lekcji za dobrze wyuczonej na pamięć. Ze wszystkich radości, jakie mnie powoli opuszczają, sen jest jedną z najcenniejszych, a też i najpowszechniejszych. Człowiek, który źle i mało sypia, oparty na licznych poduszkach, ma kiedy medytować o tej osobliwej rozkoszy. Przyznaję, że sen najdoskonalszy jest niemal koniecznie dodatkiem do miłości: rozważny odpoczynek odzwierciedlający się w dwóch ciałach. Ale tu interesuje mnie specyficzna tajemnica snu zażywanego dla samego spania, nieuniknione nurkowanie, na jakie się odważa co wieczora człowiek nagi, sam i bezbronny, w oceanie, w którym się wszystko zmienia, barwy, gęstości, nawet rytm oddechu, i w którym spotykamy zmarłych. Uspokaja nas co do snu to, że się z niego wychodzi i że się wychodzi niezmiennym, ponieważ przedziwny zakaz nie pozwala nam zabierać ze sobą całej pozostałości naszych marzeń sennych. Uspokaja nas i to także, że sen leczy ze zmęczenia, ale leczy nas z niego na pewien czas, metodą najradkalniejszą, urządzając się tak, żeby nas nie było. Tu, jak i wszędzie, przyjemność i sztuka polegają na świadomym poddaniu się tej błogosławionej nieświadomości, na zgodzie na to, by być tak subtelnie słabszym, cięższym, lżejszym, bardziej zatartym,

niż się jest. Później pomówię jeszcze o zadziwiającym plemie-  
niu marzeń sennych. Teraz wolę mówić o pewnych doświad-  
czeniach nagiego snu, nagiego budzenia się, które graniczą ze  
śmiercią i ze zmartwychwstaniem. Postaram się odtworzyć do-  
kładne wrażenie porażających jak grom snów młodości, kiedy  
człowiek zasypiał nad książkami, w ubraniu, i zostawał nag-  
le przeniesiony z matematyki i prawa do wnętrza snu mocne-  
go i pełnego, tak wypełnionego nieużyta energią, że się w nim  
kosztowało, by tak rzec, czystej esencji bytu poprzez zamknię-  
te powieki. Wspominam nagle zapadanie w sen na gołej ziemi,  
w lesie, po męczącym dniu łowów; budziło mnie szczekanie  
psów albo ich łapy, które wsparły na mojej piersi. Tak całko-  
wite było odejście, że za każdym razem mógłbym się obudzić  
kim innym, i dziwiłem się, a czasem bywało mi smutno, że to  
bezbłędnie działające urządzenie sprowadzało mnie z tak da-  
leka do tej ciasnej działki człowieczeństwa, jaką jestem ja sam.  
Czymże były te cechy szczególne, na których nam najbardziej  
zależy, jeśli liczyły się tak mało dla swobodnego śpiącego i jeśli  
na sekundę przed powroćeniem z żalem w skórę Hadriana uda-  
ło mi się rozkoszować nieledwie że świadomie tym człowie-  
kiem pustym, tym istnieniem bez przeszłości?

Skądinąd choroba, wiek też mają swoje cudowności i otrzy-  
mują od snu inne formy błogosławieństwa. Przed rokiem mniej  
więcej, po dniu szczególnie nużącym, w Rzymie, zaznałem wy-  
tchnienia, w którym wyczerpanie sił zdziałało te same cuda –  
albo raczej inne cuda niż niegdyś niewyczerpane tych sił zaso-  
by. Rzadko teraz bywam w mieście; starałem się załatwić tam  
najwięcej, jak się dało. Dzień był niezwykle wypełniony: po po-  
siedzeniu w Senacie posiedzenie w trybunale, potem arcydłu-  
ga dyskusja z jednym z kwestorów; po czym uroczystość reli-  
gijna, której nie można skrócić i w czasie której padał deszcz.



Ja sam zebrałem, sam skleciłem w całość te wszystkie różne zajęcia, żeby zostawić między nimi możliwie najmniej czasu niepotrzebnym natrętom i pochlebcom. Powrót konno był jedną z moich ostatnich takich jazd. Wróciłem do Willi z niesmakiem, chory, zziębnięty, jak się ziębnie, kiedy krew wzdraga się i już nie krąży jak trzeba w naszych żyłach. Celer i Chabrias krzatali się przy mnie, ale troskliwość może być męcząca, nawet kiedy jest szczerą. W mojej sypialni przełknąłem kilka łyżek gorącego kleiku, który gotowałem sam nie przez podejrzliwość, jak wyobrażano sobie, ale dlatego, że w ten sposób fundowałem sobie luksus samotności. Położyłem się; sen wydawał się tak ode mnie daleki jak zdrowie, jak młodość, jak siła. Usnąłem. Piassek w klepsydrze dowiódł mi, że spałem ledwie godzinę. Krótka chwila całkowitego uśpienia w moim wieku staje się ekwiwalentem spania, które niegdyś trwało przez całe pół obiegu gwiazd; mój czas mierzy się teraz w dużo mniejszych jednostkach. Ale jedna godzina starczyła, by dokonać skromnego i zadziwiającego cudu: ciepło krwi grzało mi ręce; serce, płuca znów pracowały z czymś na kształt dobrej woli; życie ciekło jak źródło niezbyt obfite, ale wierne. Sen w tak krótkim czasie naprawił skutki mojej cnoty z taką samą bezstronnością, z jaką naprawiałby skutki wybryków moich występków. Bowiem boskość wielkiego odnowiciela na tym polega, że jego dobrodziejstwa dokonują się na śpiącym, nie bacząc, kim on jest, tak jak woda mająca właściwości lecznicze nie dba o to, kto pije z jej źródła.

Myślmy zaś tak mało o zjawisku, które wchłania najmniej trzecią część całego życia, dlatego że potrzebna jest pewna skromność, by jego łaski ocenić. Uśpienia Gajusz Kaligula i sprawiedliwy Arystydes są tyleż samo warci; odkładam moje próżne i ważne przywileje; nie różnię się od czarnego wartownika, który śpi w poprzek mego proggu. Czymże jest nasza bezsenność,

jeśli nie maniackim uporem naszej inteligencji w fabrykowaniu myśli, ciągów rozumowania, sylogizmów i definicji jej tylko właściwych, jeśli nie odmową zrzeczenia się władzy na korzyść boskiej głupoty zamkniętych oczu albo rozumnego szaleństwa snów? Człowiek, który nie śpi, a od kilku miesięcy mam aż za wiele okazji sprawdzenia tego na sobie, wzbrania się bardziej lub mniej świadomie zaufać płynącemu potokowi dziejących się rzeczy. Brat Śmierci... Izokrates omylił się i jego określenie jest tylko retoryczną amplifikacją. Zaczynam poznawać śmierć; ma inne sekrety, jeszcze dziwniejsze dla naszej obecnej ludzkiej kondycji. A jednak tak zwikłane, tak głębokie są te tajemnice nieobecności i częściowego zapomnienia, że czujemy, iż gdzieś spływają w jedno źródło białe i źródło czarne. Nigdy nie patrzyłem chętnie, jak śpią ci, których kochałem; odpoczywali ode mnie, to wiem; a także wymykali mi się. I każdy człowiek wstydy się swojej twarzy splamionej snem. Ileż to razy, wstawszy bardzo wcześnie, żeby się uczyć albo czytać, sam poprawiałem te zmięte poduszki, te rozrzucone przykrycia, ślady nieledwie sprośne naszych spotkań z nicością, dowody, że każdej nocy nas tu już nie ma...